



Mirosław Derecki

PRZETAŃCZYŁAM ŻYCIE...

Kazimiera Walczakowa. Założycielka i od 26 kierowniczka Zespołu Pieśni i Tańca „Powiśle” w Końskowoli. Odznaczona m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką „Zasłużony dla Lubelszczyzny”, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”, laureatka Nagrody Wojewódzkiej.

Całe życie śpiewałam i tańczyłam. I ciężko pracowałam. I wychowywałam ludzi. Także - siebie...

Przez ostatnich dwadzieścia sześć lat moje życie to była Końskowola: tutaj pracował mąż, tutaj wychowywały się nasze dzieci i tu był Zespół. Oficjalna nazwa: Zespół Pieśni i Tańca „Powiśle”, ale my, ja i moi chłopcy i dziewczęta, których uczyłam tańczyć i śpiewać, i których także próbowałam uczyć żyć, my mówiliśmy po prostu „zespół”. W ciągu tych wszystkich lat nabieraliśmy wiele nagród, odznaczeń, wyróżnień, jeździliśmy z występami tu i tam, po Polsce i za granice, ale może nie mniej ważny jest fakt, że w Zespole skojarzyło się 28 par, i że to są dobre, mądrze na świat patrzące małżeństwa. Ja już jestem na emeryturze, przeniosłam się do Puław i muszę do Zespołu dojeżdżać. To już nie to samo, co dawniej. Ale przecież nigdy ani mi na myśl nie przyjdzie rozstanie się z Zespołem.

To wszystko wynikało z umiłowania wsi, z fascynacji jej tradycją, folklorem, z tego, że na wsi się urodziłam i wieś mnie ukształtowała.

Na Roztoczu, w pięknej okolicy, niedaleko Józefowa Biłgorajskiego, na skraju Puszczy Solskiej, jest wieś Łukowa. Tam moja matka przez wiele przedwojennych lat, w owym odległym wówczas od świata zakątku Lubelszczyzny, była nauczycielką. Do dzisiaj widzę wyraźnie wschody i zachody słońca nad puszcza, dymy snujące się nad polami w czasie kopania kartofli, słyszę głosy niosące się po wieczornej rosie, przyśpiewki wymieniane między grupami ludzi wracających z pól do domów. I wspominam tamtejsze, charakterystyczne formy obrzędowe. Te wszystkie: zrękowiny, wesela, dożynki. Lublin był za górami, za lasami. Zamość był daleko, nawet Biłgoraj wydawał się odległy... Centrum

kulturowe wsi takiej jak Łukowa to była szkoła, a w niej - mądry nauczyciel. Taka właśnie była moja mama.

Mama była wielką społeczniczką: praca oświatowa, również poza szkołą, udział w wiejskich imprezach, współorganizowanie dożynek, reżyserowanie przedstawień amatorskich... Nasz dom był zawsze pełen ludzi, coś jakby klub albo świetlica. To tam właśnie, na skraju Puszczy Solskiej zakochałam się po raz pierwszy w folklorze.

Zakochałam się w nim po raz drugi dzięki profesorowi Świeżemu. Po skończeniu siedmiu klas wyjechałam na naukę do Lublina. Chodziłam do Szkoły Przemysłowo-Handlowej i tam uczył rysunków znany etnograf, profesor Świeży. To on w nas, uczniach, potrafił zaszczerpić umiłowanie wsi i jej kulturowej tradycji. W czasie wakacji nie jeden raz pojawiał się w naszym domu w Łukowej. Chodziłam razem z nim po okolicy, pomagałam w pracy, byłam jego „asystentem”. Wtedy chyba ostatecznie połknęłam ten bakcyl, z którego nie zdołałam się wyleczyć przez całe życie: bakcyl folkloru.

W moim życiorysie znajduje się krótkie miejskie intermedium: lata przemieszkane w Lublinie tuż przed wojną i w czasie okupacji. Mama poczuła się źle ze zdrowiem, przeszła na rentę i w 1938 roku przeniosłyśmy się do Lublina. Mieszkałyśmy przy ulicy Narutowicza 78. A że natura ciągnie wilka do lasu, więc ja, zamiast podjąć po maturze pracę w wyuczonym zawodzie, znalazłam sobie zajęcie w Związku Teatrów i Chórów Ludowych.

Kto z mieszkańców Lublina pamięta dzisiaj przysadzisty drewniany dom, stojący obok gmachu Biblioteki im. H. Łopacińskiego przy ul. Narutowicza, cofnięty nieco w głąb dziedzińca, naprzeciw dzisiejszej bramy wjazdowej? Nie pozostało po nim już ani śladu. Otóż w tym właśnie drewnianym domu mieściła się przed wojną siedziba Związku Teatrów i Chórów Ludowych. Wchodziło się ze dworu do pierwszej izby i tam był sekretariat, który ja prowadziłam, oraz biblioteka repertuarowa, z sekretariatu na lewo było wejście do pokoju zarządu, zarazem miejsca urzędowania prezesa. Wielka izba po prawej stronie mieściła główny majątek Związku. Nazywano ją szatnią - przechowywano tutaj stroje regionalne i kostiumy teatralne, która wypożyczały amatorskie zespoły. Większość z tych zespołów działała we wsiach. Związek był bardzo mocno powiązany z wiejskim ruchem młodzieżowym – „Wici”

Nie ma już drewnianego domu przy Narutowicza, i nawet nie wiem, kiedy i w jaki sposób zniknął z powierzchni ziemi. W czasie wojny Niemcy wywieźli gdzieś całą kostiumernię Związku – wszystkie stroje, które z taką pieczołowitością pakowaliśmy w pierwszych dniach września 1939 roku do wielkich wiklinowych kufrów, a potem składaliśmy na przechowanie w starym, solidnym budynku sąsiadującego z nami Muzeum Lubelskiego. Ocalały natomiast pieczętiki Związku, bo kiedy weszli do Lublina Niemcy,

zabrałam je do siebie na przechowanie. Zabrałam też – sama dziś nie wiem dlaczego – cztery peruki. Także – parę fotografii i kilka egzemplarzy „Teatru Ludowego”. T wszystko zwróciłam po wonie, kiedy reaktywowaliśmy Związek Teatrów i Chórów Ludowych, dzisiejsze Towarzystwo Kultury Teatralnej, a ja wróciłam do dawnej pracy w sekretariacie. W późniejszych latach zasiadałam i w lubelskim zarządzie Związku i przez jedną kadencję byłam członkiem Zarządu Głównego.

Na wieś wróciłam z wyboru. W 1944 roku wyszłam za mąż, w ciągu najbliższych lat przyszło na świat troje dzieci. Było nam ciężki. Mąż zaraz po wojnie, jako jeden z pierwszych zaczął studiować na UMCS rolnictwo. Kiedy jego studia zaczęły się zbliżać ku końcowi, byłam już kompletnie wyczerpana miastem, ciągłym liczeniem każdego grosza, trudnymi warunkami mieszkaniowymi. I wtedy otworzyła się dla nas furka na wieś. Mężowi zaproponowano pracę w gospodarstwie rolnym Zemborzycy, które było jednym z majątków Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. Mógł tam spokojnie kończyć swoją pracę magisterską, a ja miałam dużo powietrza i dużo zieleni dla moich dzieci.

Kiedy sprowadziliśmy się na wieś, był rok 1948. Co mogła robić młoda mężatka, która na podmiejskiej prowincji, bez telewizji i własnego radia, z rzadko docierającą prasą, po nakarmieniu i oparowaniu trojga dzieci, wciąż jeszcze miała dużo wolnego czasu?

W Zemborzycach zaczęłam od kursu dla analfabetów. Potem z mężem i jeszcze jednym młodym inżynierem rolnikiem z majątku przekształciliśmy ten kurs w coś, co nazwaliśmy kółkiem samokształceniowym. Przychodzili młodzi i starzy. Jednym wystarczyło nauczenie się czytania i pisania, innych nauka pociągała dalej. I mam tę swoją satysfakcję ile razy przypomnę sobie, że pośrednio, dzięki naszej prywatnej inicjatywie, naszemu kółku samokształceniowemu kilku młodych ludzi zdało później maturę, a niektórzy skończyli i wyższe studia.

Ale najwięcej radości sprawiła mi praca z młodzieżą, mającą upodobania artystyczne.

W owym zemborzycyckim okresie mojego życia często wspominałam Łukową i nasz dom pełen gwaru i rejwachu w czasie przygotowań przez mamę kolejnych przedstawień amatorskich. I tak jakoś wyszło, że prawie z niczego, prawie przypadkowo, zrobiliśmy jeszcze w 1948 roku, razem z tutejszą młodzieżą, dożynki. Były śpiewy, i tańce, i miejskie gadki obrzędowe, pozbierane przez młodych po domach od rodziców i dziadków. Bardzo to się wszystkim podobało i powoli zaczęło do naszej gromady „dworskiej” przystawać coraz więcej młodzieży „gospodarskiej”, ze wsi.

Jeszcze przed wojną myślałam o zapisaniu się na kursy dla instruktorów zespołów folklorystycznych - ta forma artystycznego ruchu amatorskiego zawsze najbardziej mnie pociągała. Teraz samo życie popychało mnie do sfinalizowania młodzieńczych zamiarów.

Przyjechała któregoś dnia do Zemborzyc z Lublina Wanda Kaniorowa. Już przed wojną, jako młoda nauczycielka, prowadziła zespoły folklorystyczne. Od niej otrzymałam dużo zachęty. Zapisalam się wówczas na kursy instruktorskie organizowane w Lublinie przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych. I tak już poszło. Były później kursy centralne, zdobywanie kolejnych uprawnień instruktorskich, aż po najwyższą kategorię.

Zawsze bardzo lubiłam dzieci. Lubiłam się nimi otaczać, rozmawiać, bawić się z nimi. Może to właśnie przyczyniło się do nawiązywania zażyłych kontaktów ze wsią, przełamywania wzajemnych barier.

Cztery lata przemieszkane, przeżyte w Zemborzycach! Pełnia mojej dojrzałej młodości! W Zemborzycach zrozumiałam ostatecznie, jakie jest moje powołanie. Folklor, zespół, scena! Pojęłam, że oddaję się oto tej idei całkowicie.

W 1952 roku była Końskowola. Rozległa osada o dawnych przemysłowych i rewolucyjnych tradycjach, kilka kilometrów przed Puławami, przy szosie wiodącej z Lublina. A na peryferiach Końskowoli był kolejny „majątek”, którego mąż został najpierw kierownikiem, a następnie dyrektorem - Instytut Zootechniki.

Prawdę mówiąc, życie na prowincji wcale nie jest szare. Trzeba tylko umieć je zobaczyć pod właściwym kątem. I trzeba je umiejętnie ukierunkować.

Było wtedy w Instytucie kilku stażystów z różnych uczelni, byli młodzi pracownicy biura, kręciło się wokół nich trochę miejscowej młodzieży. Patrzyli na moją pracę z dziećmi, obserwowali nasz całkowicie prywatny zespół, wreszcie przyszła do mnie delegacja: oni też chcą tańczyć!

Tak oto, 11 kwietnia 1953 roku, na zasadzie zupełnie spontanicznie wynikłej potrzeby, i bez jakiegokolwiek akcji z zewnątrz „na polu organizowania ruchu amatorskiego”, powołaliśmy do życia podpisanym przez wszystkich chętnych, „oficjalnym” aktem zespół pieśni i tańca w Końskowoli. Miał on następnie znaleźć stałego, wieloletniego mecenasa, Centralny Związek Spółdzielczości Pracy, do dzisiaj nami się serdecznie opiekujący. Mieliśmy też w przyszłości zyskać wielu serdecznych przyjaciół z różnych środowisk i zawodów, jak choćby redaktor Mirosława Knorr z lubelskiego „Sztandaru Ludu”.

Lecz na początku nie mieliśmy nic, nawet strojów, tylko dużo dobrych chęci. Pracowaliśmy bez wytchnienia. Była wiosna, próby ciągnęły się często do dwunastej, nawet do pierwszej w nocy. Było nam za sobą dobrze. W czerwcu 1953 roku wyjechaliśmy na wojewódzkie eliminacje do Lublina. Zajęliśmy.... drugie miejsce, po „kaniorowcach”! Może dostrzeżono nasz autentyczny zapał, może z zespołu emanował jakiś szczególny autentyzm, i to wzięto w obradach jury pod uwagę? Bo przecież, jeżeli chodzi o doświadczenia, o technikę, znajdowaliśmy się dopiero na początku drogi.

Pod koniec 1953 r. Gromadzka Rada Narodowa zwróciła się do mnie z propozycją objęcia miejscowej świetlicy. Stała dotąd opuszczona, przez nikogo nie odwiedzana. Przetransportowałam tam swój zespół i... zaczęło się!

Dobrze się zaczęło i źle zarazem. Bo miejscowi ludzie nie mogli sobie początkowo wyobrazić, że np. młoda dziewczyna garnąca się do świetlicy, do zespołu, gdzie z tego „fikania nogami” nic dobrego wyniknąć przecież nie może, ciężko pracuje na próbach. Że na tych próbach uczy się zarazem życia w określonej społeczności, że rozmawia i dyskutuje o otaczającym Końskowolę świecie i jego problemach.

Starałam się zawsze pracować na materiale autentycznym, wynikłym nierzadko z moich własnych poszukiwań i odkryć. Brało się to z wykształcających się z czasem we mnie upodobań do tworzenia widowisk folklorystycznych. Wystawiliśmy w ciągu istnienia Zespołu między innymi dwie Suitę Powiślańskie, Zapusty na Powiślu, Andrzejki na Powiślu. Nie wystarczyły tutaj już tylko tańce i śpiewy. Trzeba było odgrzebywać w ludzkiej pamięci wizerunek miejscowych obrzędów, słowa okolicznościowych gadek, przyśpiewek, porzekadeł. Potem należało to odpowiednio dramatyzować, nasycać tańcem, piosenką i muzyką. Zbierałam materiał od ludzi w niedalekich Włostowicach, w Parchatce, jeździłam również dalej: do Rąblowa, do Wilkowa - aż za Kazimierz... Kiedyś Bronisław Pietrak, ludowy poeta, kowal ze wsi Gutanów pod Garbowem, opowiedział mi powiślańską legendę „O skrzypku Dadosie, co diabłom przygrywał”. Nosilałam w sobie tę legendę przez całe dwa lata. Aż wreszcie na jej podstawie wystawiliśmy w 1965 roku „Legendę Powiśla”.

Dwa lata wcześniej nasz dziesięć już lat sobie wówczas liczący zespół przyjął oficjalną nazwę. Łączyło się to z naszym pierwszym wyjazdem za granicę, do Związku Radzieckiego. Jakoś nie wypadało prezentować się ot tak, po prostu, jako zespół pieśni i tańca z Końskowoli: nazwaliśmy się krótko, ale chyba najśluszniej - „Powiśle”.

Działamy na Powiślu. Stąd czerpiemy materiał do naszych widowisk i my ze swej strony również oddziałujemy na ten region.

W ubiegłym roku Zespół „Powiśle” obchodził jubileusz 25-lecia istnienia. Odnieśliśmy w tym czasie wiele sukcesów na różnych ogólnopolskich konkursach i festiwalach, wyjeżdżaliśmy na zagraniczne wjazdy, otrzymywaliśmy nagrody, odznaczenia, wyróżnienia. Ale nie mniej ważne jest chyba to, że nasza działalność zaczęła powoli, z biegiem lat, rzutować na życie całej Końskowoli. Mamy tu swoich przyjaciół, stałych widzów i „koneserów” sztuki, jaką uprawiamy.

Dużo się zmieniło w sposobie myślenia tutejszych mieszkańców. Inaczej się ocenia nas, którzy śpiewamy i tańczymy. Przewinęło się przez zespół ponad 500 osób i w większości ci

ludzie nie zmarnowali zasad, jakie wynieśli z zespołu. Końskowola ma dzisiaj dom kultury, którego inicjatorem budowy był właśnie nasz Zespół.

I powiem jeszcze na zakończenie: kiedy słyszę, jak mówi się o kimś, że przetańczył życie, to zaraz pytam: „A w jaki sposób?” Bo ja - tak sobie myślę - chyba jednak mądrze przetańczyłam życie.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 14, s. 10.